ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **poniedziałek, 1 stycznia 1934 r.** **Nr. 1**

Giovanni Papini

Dante-grzesznik

Fragment poniższy jest rozdziałem z książki wielkiego pisarza włoskiego Papiniego p. t. „Dante żywy“, która niebawem ukaże się w polskim przekładzie E. Boyego nakładem wydawnictwa Przeworskiego. (Red.).

Nikt nie neguje tej prawdy, że Dante był grzesznikiem, wieloma grzechami splamionym i że za takiego się uznawał w swych bezpośrednich i pośrednich wyznaniach. Założeniem „Boskiej Komedji“ jest zbłąkanie się w mrocznym borze zła i błędu, a dwie pierwsze części poematu, są progresywną puryfikacją, oczyszczającą pielgrzymką aż do końca drugiego lasu, lasu rajskiego, w którym Beatrycze rzuca oskarżenie na głowę poety.

Długo mój widok strzegł go od niesławy
I obrócony nań mój wzrok dziewczęcy
Nie dał mu z drogi występować prawej[1])

To, że Dante był grzesznikiem, jak i my wszyscy, nie powinno nikogo dziwić. On — człowiek, a nie anioł, artysta, a nie święty pański.

Jakie były jednak jego grzechy i do jakiego stopnia grzeszył? Horda współczesnych dantologów, nie mogąc się oprzeć romantycznej pokusie czynienia z każdego genjusza półboga, przechodzi do porządku dziennego nad grzechami Dantego, widzi je mniej ciężkiemi niż w istocie były lub też zamyka je w oględne formuły, które je osłabiają i prawie zupełnie anulują. Gniew naprzykład zmienia się w „święte oburzenie“, pycha w „poczucie wielkości własnej“ i tak dalej, bez końca. Jeszcze inni, nie mogąc ścierpieć półubóstwienia, jakie kuszą się bigoci, wyolbrzymiają błędy Dantego, przyczem zdaje im się, że wpadli na ślad grzechów nowych. Dowodem dostatecznym byłoby naprzykład wzruszenie poety na widok niektórych potępionych. Litość do Franceski i Paola tłumaczą jako pośrednie przyznanie się do grzesznej miłości poety do szwagierki.

Bardzo mi niemiło, ale prawda, przynajmniej tym razem, zajmuje miejsce pośrednie. Dante nie był ani tem „czystem sumieniem“, jak to wyobrażają sobie bałwochwalcy, ani tą półkanalją, jakby inni chcieli. Nie wolno polegać w zupełności na wyznaniach poety. Każdy człowiek, sądzący samego siebie, prawie zawsze się myli, czy to dzięki pobłażliwości wrodzonej, o której mówił Chrystus w słynnej przepowieści o źdźble słomy, czy też przez niedokładność analizy. Introspekcja, czyniona w najlepszej wierze, jest rzeczą bardzo trudną. Sądy bywają interpretowane różnie, w zależności od tego kto się spowiada; różne także są systemy waloryzacji i moralnej wrażliwości. Święty, jak Franciszek z Assyżu, twierdzi, że jest najgorszym na świecie człowiekiem, szaleniec, jak Cellini, chwali się z popełnionych zbrodni. Jeśli trzy zwierzęta, spotkane w lesie, oznaczają naprzykład, tak jak utrzymuje większość komentatorów: rozpustę, dumę i chciwość, symbolizując zarazem największe przeszkody na drodze zbawienia Dantego, czyli grzechy poecie najbliższe, to trzeba powiedzieć odrazu, że w stosunku do trzeciego grzechu wyznanie mija się z prawdą. Dante nigdy nie był chciwym, o tej chciwości nic mówią nic dokumenty, odnoszące się do jego życia, nie można także, bez nadużyć słownych, nazwać chciwym człowieka, skarżącego się na własną biedę i nędzę.

Ktoś bardzo złośliwy mógłby tu zauważyć, że Dantemu brakowało pierwszego, kardynalnego warunku, to znaczy stanu posiadania, potrzebnego na to, aby jego chciwość ujawnić się mogła. Po ojcu przypadła poecie niewielka scheda, wkrótce też, dzięki wygnaniu musiał robić długi i żebrać. Jednakże ten wyimaginowany przezemnie złośliwiec myliłby się, nie zawsze bowiem skąpiec jest bogaty i nieraz ci, którzy niewielkiemi dobrami rozporządzają, są w tym małym obrębie wielkimi sknerami; nie brak także przykładów skąpców żebrzących.

Chcąc się dowiedzieć, jakie grzechy kusiły duszę Dantego, weźmy najlepiej do ręki katechizm chrześcijański. Gdy o katolika chodzi, możemy go mierzyć także katechizmem dla dzieci.

W wypadku, gdy o Dantemowa, przychodzą na myśl słowa Chrystusa: „Nie sądźcie, obyście sami sądzeni nie byli“. Nie wielu ludzi sądziło z taką pewnością i porywczością jak Dante, dlatego też poeta nie powinien dziś ujść sądom innych. Obliczenie jest bardzo proste: z siedmiu grzechów głównych trzy a może i cztery były Dantemu najzupełniej obce. Nie możemy oskarżyć pracowitego i wstrzemięźliwego poety o lenistwo lub obżarstwo. Dante w pewnym miejscu mówi o sobie, że powinien zająć miejsce w kręgu zazdrośników.

...I moje oczy równa kara czeka
Ale niedługa rzekłem, gdyż na świecie
Zazdrość odemnie bywała daleka.[2])

Istotnie, mimo szczeregu wyznania, wydaje się nieprawdopodobne, aby Dante kiedykolwiek pokalał się zazdrością. Był zbyt dumny na to, by być zazdrosnym. Niechże się nikt nie dziwi, że przeciwstawiam dumę zazdrości. Człowiek prawdziwie dumny jest do tego stopnia przekonany o własnej wielkości, że nie może się zniżać do zazdroszczenia tym, którzy są zgodnie z jego mniemaniem od niego niżsi: Nie jest to jedyny przykład grzechu, strzegącego człowieka przed grzechem innym. Rozpusta i obżarstwo wyłączają chciwość; a chciwość jest często puklerzem przeciwko rozpuście, żarłoctwu i marnotrawstwu.

Duma to nie tylko antydot na zazdrość, ale i prawie zawsze broń przeciwko lenistwu. Człowiek dumny łaknie sławy. Sam Dante w słynnych wierszach mówi, że nie zdobywa się sławy, śpiąc w gnuśnej łożnicy. Dzięki temu wzajemnemu wykluczaniu się grzechów, najbardziej zbrodniczy człowiek nie może być naraz siedmioma grzechami obciążony. Dante znał trzy grzechy, łatwo dostrzegalne w jego dziele: rozpustę, gniew i pychę. Są to, trzeba przyznać, grzechy ciężkie i gdyby istniała hierarchja tej ciężkości, musielibyśmy umieścić je wśród najcięższych, czyhających na zgubę duszy chrześcijanina. Możnaby dodać, że trzy grzechy dantejskie są antytezą zupełną do trzech głównych cnót chrześcijańskich, a zwłaszcza do heroicznej personifikacji chrześcijanizmu, jaką w czasach Dantego, stał się autentyczny franciszkanizm.

Chrześcijanin doskonały winien był czynić ślub czystości. Dante tymczasem, choć niezbyt to się godziło z postawą proroka i moralisty, miał pociąg do rozpusty. Cnotą zaleconą ustawicznie wszystkim chrześcijanom jest pokora. Dante zaś był nietylko dumnym, ale i nieraz otwarcie samego siebie chwalił. Cierpliwość i rezygnacja, nawet pośród wszystkich nieszczęść i niesprawiedliwości „doskonała radość“, tak wymownie komentowana przez świętego Franciszka i brata Leona — jest trzecią próbą siły i wiary, żądaną od chrześcijan. Dante tymczasem był skłonny do gniewu i w życiu i w sztuce cechowała go nieraz wściekłość, zbliżająca się do okrucieństwa, wymierzanego przeciw ludziom, partjom i miastom. Jeden z najsławniejszych wyznawców świętego Franciszka był — trzeba to podkreślić ze smutkiem — duchem radykalnie antyfranciszkańskim. Wielkość Dantego mimo jego cech ludzkich i aż nadto ludzkich, jest taką wielkością, że nie odważyłbym się, nawet gdybym i mógł to uczynić, zająć stanowiska ani oskarżyciela ani apologety. Lecz nasz olbrzym florencki ma prawo do prawdy, która niestety nie zawsze jest taką, jakąbyśmy chcieli, aby była. Niech będzie wolno zatem jednemu z pośmiertnych przyjaciół poety postarać się o próbę uzupełnienia sądów, sądów, które mogą wyjaśnić, jeśli już nie sharmonizować niewątpliwie sprzeczności jego ducha.

Grzech jest zawsze grzechem, jakiekolwiek byłoby jego imię i forma, a wszystkie grzechy trzeba potępiać w obliczu Boga. Mimo to możliwe jest pewne rozróżnienie, jeśli już nie z punktu widzenia teologicznego, to przynajmniej psychologicznego.

Bywają grzechy odrażające i brudne, właściwe duszom niskim, jak żarłoctwo, zazdrość, lenistwo i grzechy owładające łatwiej duszami szlachetnemi. Do tego, ostatniego rodzaju, jak to nietrudno wyobrazić sobie, należą grzechy Dantego. Nie mówię, aby rozpusta miała być grzechem lekkim i na przebaczenie zasługującym, ale i to prawda, że czasem może się ona stać pierwszym korzeniem miłości, miłości do istot poszczególnych, a nie do Istoty wiecznej i doskonałej, miłości do ciała bardziej, niż do ducha, miłości, która odeszła od prawdziwego swego przedmiotu, miłości niskiej i niebezpiecznej. Lecz i w takiem uczuciu zawiera się przecież punkt wyjścia do przekreślenia egoizmu, przezwyciężenia lodowatej obojętności, iskierka płomienia, który może zapłonąć w regjonach wyższych. Gdzie jest miłość — tam nie brak możliwości sublimacji. Zdarzali się libertyni, wznoszący się do granic świętości. Dante sam pokazał, do jakich wyżyn doprowadzić może miłość do kobiety. Tam, gdzie miłość, nawet źle umieszczona, tam także nadzieja zbawienia. Jedyną nieprzyjaciółką jest „letniość“.

Duma w swych możliwych do przyjęcia formach, to pragnienie sławy i wielkości, pragnienie, godne nagany w chrześcijaninie absolutnym, lecz naturalne w heroicznych naturach. A gniew w duszach najwyższych to pogarda dla niesprawiedliwości i zła, wspaniała żółć, której nie zna asceta, lecz która była i będzie sławą apostołów i proroków.

1) Czyściec XXX. 143 — 145. (Przyp. tłum.).

2) Czyściec XXIII. 134—136.

Władysław Konopczyński

Rewizje, rewizje...

U kogo? Jakie? Policyjne czy może fiskalne? Gorzej: historyczne! Policjant zabierze papiery, zaaresztuje, ale ostatecznie wypuści. Władza skarbowa wymierzy grzywnę, ale też głowy człowiekowi nie obetnie. Historyk nie zna litości: gdy postanowi zrewidować czyjąś wielkość lub czyjeś piękno, to pomniejsza o głowę, ściera złoto i purpurę, topi swoją ofiarę w szarzyźnie, degraduje na wieczne czasy. Czy nie szkoda tylu legend zburzonych ręką zajadłych szperaczy i czy nie żal ich trudu, jeżeli jego wynikiem bywało raczej „odbronzowienie“, niż głębsze zrozumienie przeszłości?

Policzyć tylko ile rewizyj dokonano na terenie samej historji polskiej, odkąd się nią zajęła nowoczesna szkoła krytyczna, zwana niekiedy krakowską?

Mieszko I powiększony przez Stan. Zakrzewskiego, zbliżony do wymiaru Chrobrego. Św. Stanisław napiętnowany jako zdrajca przez Tad. Wojciechowskiego, zgodnie z przekazem Galla, naprzekór całemu „plemieniu Kadłubka“. Książę Zbigniew zrehabilitowany przez Rom. Grodeckiego z niewątpliwą ujmą dla Krzywoustego. Henryk Kietlicz wywyższon przez ks. Umińskiego, przeciwko czemu ostro się zastrzegł tenże Grodecki. Henrykowi Pobożnemu, co lubił Niemców, a zginął od Tatarów, przeciwstawił Wacław Sobieski zapomnianego bohatera śląskiego, brata jego, Konrada, poległego w walce bratobójczej — o polskość. Kazimierzowi Wielkiemu wypomniano testament, przeznaczający kilka dzielnic dla księcia pomorskiego.

Witolda Ludwik Kolankowski nie pozwala wynosić ponad Jagiełłę. Wyśrubowana sztucznie przez Bobrzyńskiego wielkość Kazimierza Jagiellończyka, jako łamacza przywilejów stanowych, nie wytrzymała krytyki ze strony tych, co szukali w dziejach naszych budownictwa nowych form, a nie łamania starych: z wielkości pozostały upór i ambicja. O królewskie i rycerskie cnoty Olbrachta ciężką walkę stacza Fryderyk Papée z Olgierdem Górką. Kanclerza i Prymasa Łaskiego znacznie odbronzowił L. Finkel. Jego następcę, Szydłowieckiego, rozsławił Kieszkowski jako mecenasa, ale nikt nie bierze w obronę jego zalet, jako męża stanu. Zmalał w świetle naszych badań zesztywniały w swem austrofilstwie Tarnowski; rośnie, a w każdym razie błyszczy polorem humanizmu jego przeciwnik, Kmita. Wyrasta ponad wszystkie królowe Złotego Wieku mądra, gospodarna Bona. Zygmunt Stary, jako budowniczy Polski, lepiej przetrwał rewizję, niż jego syn, któremu zato przyznano przenikliwy, arcy-europejski rozum stanu w dziedzinie polityki zagranicznej.

Batoremu świeży jubileusz nie wyjdzie na dobre: wytknięto mu bowiem (Kaz. Lepszy) poważne zaniedbania w polityce gdańskiej, pruskiej, bałtyckiej, odpowiedzialność za zbyt miękką rękę wobec Gdańska podzieli z królem Zamoyski. Mniej niż przedtem mówi się dziś o fanatyzmie Zygmunta III, więcej o jego kulturze i mecenacie. Zarzut spiskowania z obcą dynastją przeciw własnemu narodowi nie obciąża już tak wyłącznie Zygmunta III, skoro go w tem wyprzedzili niektórzy Jagiellonowie; nie jest już jasne, jak dalece frymarczył on koroną polską z Habsburgami; przeciwnie stwierdzono, że chciał frymarczyć jego popularny syn, Władysław. Jana Kazimierza można nie lubić, ale nie można zaprzeczyć, że był to i zdolny wódz (według badań mjr. Hniłki), i światły reformator, śmielszy pod tym względem, niż Władysław IV, albo Sobieski.

Augustów Sasów nie uratuje pono żadna rewizja, ale w dobie saskiej odnaleziono iskry niemal wszystkich tych świateł, jakie rozjaśnią epokę stanisławowską. Zstępują w dół niektórzy owej doby saskiej przereklamowani wychowankowie np. Sołtyk i wznoszą się oczyszczeni z nienawistnej obmowy Czartoryscy. Do rehabilitacji Stanisława Augusta przyczynił się trochę piszący te słowa; o wiele dalej poszedł w tym kierunku A. M. Skałkowski, zaprzysiężony instygator wszystkich słabości Kościuszki.

Sięgnęła rewizja oczywiście i w czasy porozbiorowe, gdzie najwięcej żądano od ludzi bohaterstwa, a najmniej oceniano owoc ich pozytywnej pracy. Wygrywają tutaj znów Czartoryski, Lubecki, Wielopolski, przegrywa Mierosławski. Oskarżyciel Mochnacki sam był stawiany w stan oskarżenia, promienisty Tomasz Zan stracił dużo promieni. Makryna Mieczysławska skompromitowana fatalnie. Cała wartość narodowo - polityczna kwestjonowana, przez jednych ryczałtowo i popędliwie, przez innych powściągliwie, ze słusznym wymiarem każdoczesnych możliwości. Listopad przestał górować nad Styczniem, zaś ruch 1848 okazał się w przedstawieniu J. Feldmana czemś mniej iracjonalnem, niż dotąd mniemano; legenda polsko - węgierska o dwóch bratankach rozpadła się niemal w gruzy.

Z osób i wielkich akcyj politycznych przerzuca się nieraz rewizja na zagadnienia kultury i ustroju społeczno - politycznego. Kazimierz Tymieniecki kruszy kopję o rdzennie polskie pochodzenie naszych miast; Rafał Taubenschlag wywodzi ogromne działy prawa polskiego z zagranicy. Wielkie wojny naukowe, których wyniki rozmaicie oceniano, stoczył O. Balzer o to, jak należy rozumieć w XIV wieku „Regnum Poloniae“ i jak w XVI konstytucję „Nihil Novi“. Znikła, a przynajmniej powinna była zniknąć legenda o „przywileju wieluńskim“, co to miał ustanawiać u nas rządy arystokratyczne. Wskrzesił Stanisław Kot bogate rodzime plony ideologji braci polskich zwanych arjanami. Ksiądz St. Bednarski uratował od zapomnienia piękne odrodzenie szkół jezuickich w drugiej połowie XVIII wieku. Na upadek dawnej Rzplitej rzucono zbiorowym wysiłkiem tyle światła, że narzuconą nam z zagranicy dawną wiedzę, o tym przedmiocie można schować do lamusa.

Bywają tedy rewizje in minus — albo in plus. W trakcie wydobywania nowych prawd i przeszacowywania różnych, wartości zwykle tracą dużo postacie pierwszorzędne, zyskują trochę lub nawet sporo — drugorzędne. Kosztem jednego legendarnego olbrzyma podnosi się do miary nieprzeciętnej dziesięciu lub stu ludzi średnich. Skoro zaś tak jest skoro na dorobek każdego pokolenia składa się praca jego wodzów i szeregowców, to doprawdy niema powodu do płaczu nad każdą zgruchotaną kolumną: trzeba tylko umieć oderwać serce od wyidealizowanych jednostek czy momentów, a zato przylgnąć do całości jestestwa narodowego. Przyjdzie to trudniej dzieciom i prostaczkom, niż ludziom dorosłym, wykształconym, ale prędzej czy później przyjść musi.

Uznając wszakże w rewizjach historycznych jakgdyby wymiar sprawiedliwości dziejowej, musimy przestrzec rewizjonistów przed wykolejeniem i kompromitacją. Grożą one wówczas, gdy ktoś rzuca się na uświęcony pogląd i chce go obalić dla samej rozkoszy wywracania i jeszcze gorzej... jeśli to czyni dla apologji lub pogrążenia pewnego kierunku politycznego. Prawy historyk dąży do szczerej i głębszej wiedzy: rewizja bywa dlań skutkiem, a nie celem badania. Odróżnić takie naukowe postępowanie od sensacyjnej publicystyki łatwo: rewizję powinno się zaczynać „przy drzwiach zamkniętych“ w kole specjalistów, pod okiem ścisłej krytyki, z zastosowaniem całego aparatu źródłowego, a nie w prasie lżejszego kalibru, nie gołosłownie, nie na podstawie paru nowszych cudzych opracowań. Przykładem rewizji naukowej są badania dra O. Górki nad wyprawą czarnomorską Olbrachta, przedstawione niedawno w Tow. Naukowem Warszawskiem. Przykładem rewizji powierzchownej i sensacyjnej — artykuł tegoż autora w „Pionie“ na temat „Ogniem i mieczem“.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

FEDEROWSKI Z.: Prawdziwy indjanin. Farsa w 1 akcie ze śpiewem. 8º str. 17. Lwów, 1933. Dom Książki Pol. Zł. 1.50.

KIEWNARSKA JAD.: Najdziwniejszy z romansów Pani Sand. Cz. I. Młodość. 8º str. 208. Warszawa, 1933. Bluszcz. Zł. 6.

KOSIBOWICZ E. ks.: Walka z duchowieństwem czy walka z kościołem. 8º str. 52. Kraków, 1933. Księg. św. Wojciecha. Zł. 0.30.

KRUSZEWSKA F.: O bałwankach śniegowych i o świerczynie. 8º str. 27. Warszawa, 1933. Bluszcz. Zł. 1.20.

MAJEWSKI A. ks.: Ku wyżynom świetości. Słowa zachęty dla ludzi dobrej woli. 16º str. 52. Warszawa, 1934. Przegląd Katolicki. Zł. 0.40.

MAKUSZYŃSKI K.: Panna z mokrą głową. Powieść dla młodzieży. Wyd. 2-gie z ilustr. H. Krygier. 8º str. 210. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Kart. zł. 6.50.

MAKUSZYŃSKI K.: Śpiewający djabeł. 8º str. 288. Lwów, 1934. K. S. Jakubowski. Zł. 4.50.

MOSZYŃSKA J.: Dwaj indjanie. Komedyjka w 2 akt. ze śpiewami. 8º str. 20. Lwów, 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 0.80.

PATRI A.: Nauczyciel w wielkiem mieście, tłum. z ang. J. Łaszczowa. 8º str. 193. Warszawa, 1933. Nasza Księg. Zł. 4.

POKER JIM: Król Gibraltaru. Powieść. 8º str. 271. Warszawa, 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 3.50.

POKER JIM: Zdzich szuka ojca. Powieść morska dla młodzieży. Rysunki i okładka F. Ciechomskiego. 8º str. 150. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Kart. zł. 6.50.

REID SYDNEY: Jak Sing-Chwat przewędrował świat, tł. z ang. S. Kossuthówna z ilustr. K. Mackiewicza. 8º str. 38. Warszawa, 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 2.40.

ROGUSKA-CYBULSKA JADWIGA: Tajemnica Tatr. Powieść, z przedmową prof. W. Goetla, ilustr. J. Gąsienicy Szostaka. 8º str. 318. Poznań, 1933. Księg. św. Wojciecha. Kart. zł. 6.

ROMIN S.: Cudowne wakacje Janka Szewczyka, z rysunk. E. Kanarek. 8º str. 104. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Kart. zł. 6.

ROŚCISZEWSKA J.: Panieneczka, okładkę i rysunki wykonał R. Wylcan. 8º str. 351. Warszawa, 1934. Gebeth. i Wolff. Zł. 4.50, kart. 5.50.

SEMKOWICZ WŁ.: Rzeczpospolita Polska w dobie królów obieralnych. Stan polityczny z czasów króla Stefana Batorego 1582 z uwzględnieniem zmian terytorjalnych do r. 1770. Mapa 1:3.000.000. Lwów, 1933. Książnica-Atlas. Zł. 2.10.

STRÓŻECKI K. dr.: Łaźnie w dawnej Polsce i konieczność ich wznowienia. 8º str. 110. Warszawa, 1933. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 4.

SZELBURG-ZAREMBINA EWA: Nasi braciszkowie. Rysunki J. Młodkówny i E. Manteuffel. 8º str. 32. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.50.

WIERZYŃSKI K.: Gorzki urodzaj. 8º str. 119. Warszawa, 1933. Towarzystwo Wydawnicze. Zł. 3.

WOJCIECHOWSKI K.: Jak patentować wynalazki, rejestrować wzory i znaki towarowe. Rozporządzenia, przepisy, informacje umowy międzynarodowe i tablice opłat. 8º str. 165. Warszawa, 1934. F. Hösick. Zł. 4.

WOJTKIEWICZ MICHAŁ inż.: Śródlądowe drogi wodne na tle ewolucji transportu z 4 map, dróg wodnych. 8º str. XI, plus 485. Warszawa, 1934. Dom Książki Polsk. Zł. 20.

WSZĘDOBYLSKI Dr.: Podróże I. 300.000 kil. na sekundę z 28 plansz. dla młodzieży przeł. T. Zawistowski. 8º str. 160. Warszawa, 1934. Książnica-Atlas. Opr. zł. 10.

Nasza ankieta

Jaką najciekawszą książkę przeczytałem w roku 1933?

Prof. Teodor Axentowicz
Kraków

BONI DE CASTELANE: Comment j'ai d'ouvert l'Amerique.

Bo jest pisana przez bardzo kulturalnego „grand-seigneur'a".

Mec. Leon Berenson
Warszawa

LEON KRUCZKOWSKI: Kordjan i Cham (Gebethner i Wolff).

Ani romans, ani powieść w zwykłem pojęciu... Jest to dokument historyczny, ożywiony wielkiem napięciem społecznem. Pożółkłym kartom autentycznego pamiętnika nadano tyle bogatych barw, wyposażono je w tak dramatyczne rzuty, że te przedlistopadowe godziny chłopstwa polskiego, ta wzbierająca fala jego świadomości klasowej, — uczyniły z „Kordjana i Chama" najciekawszą książkę, jaką przeczytałem w r. 1933. „Owa przemoc pradawna, a wielmożna człowieka nad ludźmi — pańskość władnąca i dławiąca, ciężka jak klątwa, rzucona na zgarbione grzbiety", — oto myśl przewodnia, która nie każdemu może się podobać, gdyż jest wieczną i bezwzględną prawdą, od której ludzie tak chętnie uciekają.

Artur Chojecki
Warszawa

JAN WŁADYSŁAW DAWID: „Psychologja religji". COLETTE: „La chatte".

1) Książka Dawida, oprócz innych jej zalet, jest jeszcze dlatego niezmiernie ciekawa, że napisał ją pozytywista, wyznawca przez długie lata materjalistycznego poglądu na świat, który sprawami religji zaczął się interesować względnie pózno, dopiero pod wpływem bolesnych przejść osobistych. O tych przejściach mówią nam fragmenty pamiętnika dołączone do przedmowy. Widzimy tu Dawida łamiącego się ze sobą i szukającego wyjścia ze ślepej uliczki materjalizmu. W samej „Psychologji religji" autor dochodzi do wniosku, że „ani pojmowanie psychologiczne, ani biologiczne i socjologiczne, nie dają zupełnego wyjaśnienia religji". Wierny metodzie pozytywnej, Dawid świadomie ogranicza zakres swoich dociekań i nie chce zrobić ani kroku dalej. Jednakowoż, mimo ten surowy objektywizm, książka Dawida może nietylko zachęcić do badań naukowych nad religją, ale i poruszyć w duszy czytelnika struny uczucia religijnego.

2) W Polsce, gdzie wielu jeszcze utożsamia germańską zawiłość, ciężkość i niestrawność z głębokością myśli, Colette nie cieszy się taką sławą, na jaką zasługuje. Tymczasem to dziś nietylko pierwsza stylistka Francji, ale i naprawdę wielka pisarka w każdym calu. Cóż to za doskonała znajomość dusz ludzkich i zwierzęcych! W „La chatte" mamy paradoksalny trójkąt małżeński: on, ona i kotka, przedstawiony na tle współczesnego nowo - pogańskiego świata, którego beznadziejnej pustki duchowej niczem się zakryć nie da.

Prof. Władysław Grabski
Warszawa

Żadna książka z przeczytanych przezemnie w 1933 r. nie wydała się mnie zasługującą na szczególne wyróżnienie. Jak depresja, to depresja.

Iza Moszczeńska
Warszawa

JAN KUCHARZEWSKI: Rządy Aleksandra III-go. 6-ty tom Od Białego Caratu do Czerwonego.

Dzieło Kucharzewskiego, pod ogólnym tytułem „Od Białego Caratu do Czerwonego", czytam tom po tomie z najwyższem zainteresowaniem. Jest to bardzo głęboka i niesłychanie pouczająca analiza psychologji narodu rosyjskiego w ciągu długiej rewolucji dziejowej, której dramatyczny wynik stał się nieoczekiwanym finałem wojny światowej. Wprawdzie już bardzo dawno powiedziano o potędze caratu, że jest to kolos na glinianych nogach, jednakże nikt nie przewidywał w żadnych kalkulacjach politycznych, ani w obozie przeciwników, ani też sprzymierzeńców, że ten kolos runie tak doraźnie, prawie bez oporu i walki. Ale to, co w wydarzeniach dziejowych uderza nas, jako katastrofa o epokowem znaczeniu, nurtuje wolno, w ciągu długich lat, niekiedy stuleci w głębi duszy narodu. Ażeby w pełni rozumieć wydarzenia, na które patrzymy, dobrze jest pod światłem kierownictwem uczonego badacza zajrzeć w g.ąb dawnych, ukrytych źródeł, do sił duchowych, rządzących czynami ludów i kształtujących ich dzieje." Historyk powinien być psychologiem; winien nim być i mąż stanu.

Jakże pouczającą lekturą dla wszystkich polityków byłoby uważne odczytanie ostatniego tomu dzieła kucharzewskiego. Rządy Aleksandra III-go, to ostatni okres panowania nienaruszalnego, triumfującego absolutyzmu a w Rosji także niczem nie zachwianej potęgi caratu na zewnątrz. A oto właśnie w ciągu tego okresu nieustannie pogłębiała się ta przepaść, której nikt w Europie nie dostrzegał gołem okiem, a nad którą stanął kolos. Budził grozę, imponował światu, a sam od początku drżał ze strachu.

Niezmiernie ciekawym jest rozdział, który odsłania tajniki sieci szpiegowskiej, mającej chronić samowładnego monarchę przed zamachem takim, od jakiego zginął jego ojciec. Oprócz „ochrany" utrzymywanej przez rząd istniała i ochotnicza drużyna szpiegowska, zoganizowana przez sfery drworskie, oddane carowi i fanatycznie przywiązane do tradycji samodierżawia. Jedna i druga szerzyły w narodzie korupcję. Cała działalność polityczna, rewolucyjna — czy kontr rewolucyjna, tworzyła się w mrocznych podziemiach konspiracji. Po ciemku nie można było odróżnić szczerego rewolucjonisty od nasłanego prowokatora, a wiernego służalca rządu, od chytrego wywiadowcy partyj przewrotowych. Jedni pod drugiemi ryli krużganki i zakładali w nich miny i machiny piekielne. Późniejsza za Mikołaja II-go głośna sprawa Azewa odsłoniła mały odcinek tego terenu walki ukrytej.

Kto dzisiaj ma wątpliwości, ile warte są dla narodu i państwa wolność, jawność, niezłomne poszanowanie prawa, niech czyta książkę Kucharzewskiego, a zrozumie, w jaki sposób wielkie potęgi same siebie grzebią. Zrozumie także, że jedyne siły, na których można budować trwałą wielkość — to są siły moralne.

Zofja Nałkowska
Warszawa

BRUNO SCHULZ: „Sklepy cynamonowe".

Jest to także książka najdziwniejsza, jaką czytałam w tym czasie. Na materjale najprostszym i najuboższym, na małym wycinku żałosnego życia drobnych ludzi, przeprowadza autor tej powieści eksperymenty, dotyczące najbardziej niepokojących, groźnych i zawikłanych, najgłębiej w ciemności biologji sięgających spraw człowieczych. Ciasne zakamarki podwórzy i małomiejskich ogrodów, zgniecione tylnemi ścianami szop i fabryk, kipią tropikalnem zgęszczeniem i ciśnieniem życia, tajemniczą esencją natury. Ludzie, poplątani i pomieszani ze sobą i ze światem, z roślinami, zwierzętami, z ulicami i wnękami domów, w jakiejś groteskowej i patetycznej męce zmagają się i układają ze swym niepokojem istnienia. Styl tej książki naświetla i przegląda rzeczywistość jakby na wylot, ukazuje ją zdeformowaną i prawdziwą, jak tkankę pod mikroskopem — prawdziwością spotęgowaną i groźną. Książka niezmiernie interesująca, do której wraca się po wciąż nowe zdziwienia, którą się czyta nanowo w różnych kierunkach, na różnych głębokościach.

Prof. Władysław Skoczylas
Warszawa

WALDEMAR GEORGE: „Profits et pertes de l'art contemporain". Paryż, Editions des Chroniques du Jour. (1933).

Książkę tę uważam za najbardziej interesującą, jaką przeczytałem w ubiegłym roku nietylko ze względu na jej traść, ale także ze względu na jej autora. Należy przypomnieć, że p. W. George jest z pochodzenia polskim żydem z Łodzi i właściwe jego nazwisko brzmi Jarociński. Przez szereg lat był redaktorem bardzo popularnego miesięcznika artystycznego, wychodzącego w Paryżu, p. t. „L'Amour de l'Art", i należy do najpoważniejszych krytyków artystycznych. W czasie długoletniej publicystycznej działalności był p. W. George zwolennikiem skrajnego modernizmu, przejawiającego się w dziełach t. zw. „Ecole de Paris".

Otóż w ostatnio wydanej książce p. W. George zaprzecza wszystkim głoszonym dotychczas ideom i okazuje się zaciętym wrogiem naczelnej tezy paryskiej szkoły, to jest malarstwa dla malarstwa. Twierdzi, że malarstwo, które rozpoczęło się od Maneta, następnie rozwijało się w dziełach impresjonistów i ostatnio wyraziło się w sztuce Cesanne'a, Matisse'a i Picassa jest powodem dziejszego upadku sztuki prawdziwej, będącej zawsze wyrazem ducha. Utraconą dziś linję rozwoju malarstwa francuskiego widzi w sztuce Davida, Ingresa, Delacroixa, Corota, Degasa i Renoira.

Książka ta jest ciekawym wzorem opinji w stosunku do „Ecole de Paris", co do której zaznaczyła się w ostatnich czasach w Paryżu radykalna zmiana poglądów, zarówno u artystów, jak i krytyków.

Stanisław Thugutt
Warszawa

WOJCIECH SKUZA: „Kumac". Poemat chłopski z r. 1794.

„Kumac" — ten, co się kuma. W tej żałosnej historji kumał się znany najszerszym sferom Wojciech Bartos - Głowacki z Rzędowic z panami, żeby wygnać z Polski Moskala i — krzywdę.

Panów jest dwóch: Naczelnik Kościuszko, który chciał szablę zbratać z kosą, ale się bardzo bał żeby „hultaje" nie buntowali ludu przeciw dziedzicom, i pan wojtkowy — starosta Szujski, króry, gdy zapały insurekcji przygasły, oddał kościuszkowego oficera w austrjackie rekruty. Za to jakby w nagrodę figuruje do dziś dnia Bartos na bibułkach do chłopskiego „tabaku".

Gorzki ma smak ta książeczka. To nie poezyjki o „ludzie", czy „dla ludu"; to lud sam mówi, nie bez męki szukając swej drogi. Twarde, szorstkie słowa, rytm dudniący, jak chłopski wózek po grudzie. Czasem buchnie krzyk, jak zapiekła krew z rany. Próżno do tego podchodzić z historycznym skalpelem: wersja historyczna choćby była szersza nie będzie mniej gorzka.

Nie wszystkim się ta opowieść wyda miła, gdyż dość brutalnie sięga ręką na uświęcone mity. Pocóż jednak mit, jeśli się w niego nie wierzy wiarą żarliwą. Czyta się to z zatajonym tchem, może dlatego, że to część historji, która jeszcze trwa.

Stanisław Wasylewski
Poznań

AXEL MUNTHE: „Księga z San Michele".
CELINE: „Podróż do kresu nocy".

Te dwie, najpopularniejsze chyba, nowości sezonu ubiegłego dopełniają się wzajem. Co Francuz przesolił, to dosłodził Szwed. Niejaką melancholję spowodu, że oba zjawiska są obcego rodu, niechaj umniejszy wzorowy przekład jednej i drugiej książki. Zarówno Emilja Petersowa jak W. acław Rogowicz dobrze się zasłużyli autorom w odtworze oryginału na język polski. Szczególnie Rogowicz. Raz przecie stołeczna gwara warszawska znalazła się w dziele sztuki.

Alfred Jesionowski

Dzieło najżywsze z żywych...

Fundamenty pod ubożuchną współczesną literaturę śląską położył Gustaw Morcinek, syn ziemi śląskiej. Krzepka jego proza poruszyła Polskę. Przez dzieło Morcinka ujrzeliśmy po raz pierwszy mocną, twardą postać Ślązaka, ujawniające się nieznane i niespodziane zapasy energji życiowej i narodowej ludu, który jeszcze mistrz Wincenty w Pieśni o Ziemi Naszej nazwał lekkomyślnie „ludem zniemczałym". Morcinek pokazał nam, że istnieje patrjota polski o płomiennem sercu, który się nie rozczula nad swoją miłością ojczyzny, o niej nie mówi nabrzmiałemi bólem słowami, jak to dotąd u nas było w zwyczaju. Droga krzyżowa ludu śląskiego, jego mozolne, ale cierpliwe i nieustanne „rąbanie chodnika" do wolności, zakończone straszliwemi, lecz zwycięskiemi walkami — oto co nam z niezwykłą plastyką pokazał Morcinek. I to jest etap pierwszy zarówno w dziejach nowego Śląska, jak i w jego literaturze. Z „Wyrąbanego Chodnika" wyłoniła się kraina i lud, które zmuszały do podziwu, krzepiły serca, pozwalały wierzyć w nową wielką Polskę.

Uważny czytelnik Morcinkowego dzieła spostrzegł bez trudu, że Śląsk to ziemia, gdzie kwitnie kult pracy, ziemia ludzi małomównych, ale tem czynniejszych, ludzi dążących do celu uparcie, wytrwale i bez wytchnienia. Rzeczywistość to potwierdziła w całej rozciągłości. Na odrodzonym Śląsku rozpoczęła się gorączkowa praca, praca jakiej w podobnem nasileniu, poza Gdynią, Polska nie widziała. Skończyła się epopeja krwawa — rozpoczęła się wielka pieśń pracy. I jak za pośrednictwem Morcinka Polska retrospektywnie śledzić mogła etapy „rąbania chodnika", tak teraz ma możność przyglądnąć się, jak Ślązak pojmuje swój udział w pracy nad ugruntowaniem wielkości Polski, jak sobie życie urządził Ślązak na wolnej ziemi. Przewodnikiem niech nam będzie piękna nowa powieść utalentowanej pisarki, bystrej obserwatorki, Poli Gojawiczyńskiej: „Z i e m i a E l ż b i e t y" *).

Niezwykle trudnego, ale bardzo wdzięcznego zadania podjęła się Gojawiczyńska: chciała dać obraz dzisiejszego Śląska. Tym razem ani górnik, ani hutnik nie są głównymi bohaterami, bohaterem jest cała ludność osady przemysłowej, w której łatwo poznajemy to Szarlej, to Piekary, choć oczywiście nie wszystko, o czem autorka pisze, do tych osad odnieść można.

Odcinek zresztą był obojętny — praca podobna, życie podobne rozwijało się i rozwija w wielu osadach przemysłowych na Śląsku. Na tych samych miejscach, gdzie do nie tak dawna była jedna długa ulica lub małe centrum, kilkanaście domków, parę koszar fabrycznych wpobliżu potężnych hut lub kopalń — tam wznoszą się dziś setki nowych domków prywatnych, pięknych will, wspaniałe gmachy rządowe, schludne jednolite domki robotnicze. Była to powszechna ambicja: pokazać Szwabom, co zrobić potrafią Polacy, a Polsce — czem jest praca, do czego dojść można pilnością, skrzętnością, zapobiegliwością. Ten imponujący pochód triumfalny pracy zatrzymała jedna zapora: kryzys. Może i nie kryzys... może była to tylko zorganizowana wola obcych potentatów finansowych, których rozrost Śląska zatrważał i przerażał. Może tylko to... raczej to.

Lud śląski patrzał na tę „kryzę" początkowo ze zdziwieniem, później z żalem i oburzeniem, wreszcie zrozumiał, przynajmniej mu się tak zdawało. Upatrywał w tem niezaradność i słabość rządu. Gorycz wypełniała mu nieraz serce po brzegi, bo nie wiedział, że władze skrępowane są mnóstwem wziętych na siebie zobowiązań międzynarodowych, konwencjami, i że istotnie bezsilne są wobec wyraźnego a niepodpadającego pod ustawy karne sabotażu tajemniczych potęg.

I na tem tle nędzy i bezrobocia cnoty Ślązaka zalśniły tem pełniejszym blaskiem. Bezrobotny górnik czy hutnik nie ma nic wspólnego z tymi bezrobotnymi, tysiącami spotykanymi, którzy się bez pracy obyć mogą, byle było co jeść, jakoś za coś żyć. Dla Ślązaka brak pracy — to brak powietrza. Za dumny jest, by brać jałmużnę, na żebry nie pójdzie, jeśli choć najmniejsza nadzieja zarobku zaświta.

„Ten chwycił się gorzkiego bogactwa przemytu, ten za babkę, co na usługi poszła, izbą i dzieciskami się zajął. Ten utonął cały w kościele w modłach, ale najwięcej, a najwięcej przygarnęła bibljoteka". Szuka pracy za wszelką cenę, byle nie żyć z cudzej łaski. Górnik, pozbawiony pracy, sam sobie kopie szybik, pracuje w nim z większem narażeniem życia, niż na kopalni prawdziwej. Zarabia na tym węglu z „bieda-szybów" akurat tyle, by z głodu nie umrzeć, ale co zje i dzieciom da — sobie zawdzięcza. Potrzeba, kult pracy przeniknęły wszystkie sfery Ślązaków. Córka-posłanka, wróciwszy z posiedzenia — staje za ladą ojca, syn-akademik wracający na wakacje z W. S. H., zakłada książki handlowe, kontroluje magazyny i nie wstydzi się zawinąć paczki pieprzu czy powideł. Tu znów córka-maturzystka pomóc chce przy budowie domu rodzinnego, sama donosi cegłę, pracuje narówni z najemnymi, choć tego nie „potrzebuje", z prostej ochoty do pożytecznego spędzenia czasu. Bez patosu, bez zbytecznych słów.

Praca, to główny i podstawowy rytm życia śląskiego, byle ją mieć, byle bodaj jej pozory. Gojawiczyńska uchwyciła rytm ten bardzo wrażliwem uchem i oddała go po mistrzowsku, wczuła się znakomicie w to dziwne tętno, zrozumiała znaczenie słów Żeromskiego, że Śląsk, to „dzieło najżywsze z żywych".

Historja Szarleja — Piekar, to żywa historja współczesnego Śląska. Ludność, jej życie, myśli, język, marzenia i pragnienia — oddała autorka z fotograficzną wiernością, wplatając zręcznie aktualne a charakterystyczne wydarzenia z życia Śląska. Wszystko tu żyje życiem pełnem, niesfałszowanem. Takich Haleczków z „Ziemi Elżbiety" spotkamy wszędzie na Śląsku, spotkamy w Lublińcu — tam zwą się Rzeźniczkami lub Niewiemami i dzierżą cały rynek w swych rękach; spotkamy w Pszczynie, gdzie dla odmiany nazywają się Frysztackimi. Wdowa Miszłol przychodzi nam usługiwać zarówno w Tarnowskich Górach, jak w Rybniku czy Żorach. Śpiwoków znajdziesz w podobnej proporcji w każdym śląskim ośrodku przemysłowym. Widywaliśmy i widujemy takich farorzy, jak ów opisany, co umarł, i takich, co po nim przyszli, księży i administratorów.

W ujęciu aktualjów śląskich czy nawet ogólnopolskich, był szkopuł poważny. Autorka przebyła go dość zręcznie, i to także jest doskonałą miarą jej talentu powieściopisarskiego. Możemy się nie godzić na jej pogląd, co do regulacji urodzin, możemy mieć inny pogląd na kwestję „czarnych okupantów", ale przyznać musimy, że chciała się z problemami temi rozprawić uczciwie, unikając i r a m e t s t u d i u m. (Owa zmiana proboszczów, głośna swego czasu na Śląsku, ujęta jest tak zwarcie, ekonomicznie, jak bardziej nie można, a wywiera wrażenie ogromne na czytelniku, dając przytem najtrafniejszą charakterystykę pobożności Ślązaków). Natomiast większy umiar zalecałoby się przy opisie sierocińca, choć i tam natrafiamy na momenty głęboko przejmujące. Kogóżby nie wzruszyły owe porzucone, miłości głodne istotki, owa terroryzowana, szantażowana i deprawowana „wychowawczyni"? Po mistrzowsku ujęta jest postać Agnieszki Ligenziny, coś z Balzaka i coś z Żeromskiego, a jednak o wyrazistej własnej indywidualności.

„Ziemia Elżbiety" godnie kontynuuje hymn Morcinka o ziemi śląskiej, dodaje nowe tony, akcenty i melodje. Wobec niewątpliwie nieprzeciętnych zalet tej powieści, oryginalnej w koncepcji i przeprowadzeniu fabuły, do zera redukują się pewne usterki, jak niewłaściwe ujęcie słowa frechowny (od niem. frech — bezczelny, wyzywający), którem autorka się posługuje w znaczeniu szykowny, zgrabny, i inne drobne niezrozumienia gwary.

Książka Gojawiczyńskiej przeniknięta jest serdeczną miłością tej ziemi, którą opisuje, głęboką czcią i niotajonym podziwem dla hartu, pracowitości i serdecznej dobroci mieszkańców, bohaterów rzeczywistych, nietylko powieści. Bolą ją dowcipy „Karlika z Kocyndra", kiedy to „zabrzmi radjo w świetlicy i między jedną a drugą piosenką modną a mianczącą opowiedzą ci rzecz o tobie samym — o tobie Francku, Gustliku, Alojzie. Naśladują twoją wymowę i obyczaje, twoje przypuszczalne myśli i sądy, człek uczony, twój „przyjaciel radjowy" ukaże cię w grubej dykteryjce „zdrowo i jędrnie", wybuchasz gromkim śmiechem, zanim się spostrzeżesz, że to o tobie mowa, że zrobili z ciebie głuptaka, bułę, durnia". Wypowiadając te żale, przesadza autorka niewątpliwie. „Berami i bojkami" nikt się nie przejmuje, bierze je jako dowcipy, nie zapuszczając się w filozofje na ten temat. Rozumiemy natomiast serdeczne współczucie autorki dla tej cierpliwie znoszonej nędzy, jej poszanowanie dostojności pracy i szlachetnej dumy osobistej Ślązaka. Nie dziwimy się, że goryczą zaprawiła ostatnie kartki swej powieści, za to, że tak mało zrozumienia doznają ci tak cierpliwie znoszący przeciwności losu.

Nie każdy ma taką pogodę serca i duszy, jak Morcinek, który równie bystro i jasno widzi zło, nad niem ubolewa, ale w sercu je chowa, krzepić tylko pragnie, nieść pociechę, radość, pokazać nawet „G w i a z d y w s t u d n i" **).

Tę dla młodzieży napisaną powieść śląską z pożytkiem przeczyta także czytelnik dojrzały. Widzimy tu ten sam Śląsk, uciskany bezrobociem i kryzysem, co u Gojawiczyńskiej, tylko w innem nieco świetle. Tu ten sam głód pracy, to samo umiłowanie życia, za cenę pracy własnej, ta sama duma, szlachetność i szczerość górnośląska, ta sama pogarda śmierci, serdeczna miłość dzieci, co w „Ziemi Elżbiety", ale wszystko to podane jest jakoś cieplej, pełniej, serdeczniej, rzeczywistość sublimowana a nie sfałszowana. Dzieje owego „złodzieja" Hanysa, dola biednej Kryśki, żywot zacnego Kożusznika i gałgana Moronia — to wycinki z rzeczywistości śląskiej. Morcinek roztacza przed nami przejmujący, pełny obraz owego smutnego życia „ludzi jaskiniowych", mieszkających w norach na hałdach, w opuszczonych bieda-szybach. Tym szczególnie poświęca Morcinek opis szeroki, z wszelkiemi szczegółami technicznemi, z tą wyrazistością i plastyką życia górniczego, w której Morcinek celuje. Ale nawet tak smutny temat umie Morcinek ująć w sposób, nie dopuszczający przygnębienia. Bieda-szyby urastają w Morcinkowej opowieści do symbolu głodu pracy i poczucia godności człowieczej — górnika śląskiego. Tu w całej pełni jaśnieją inne wielkie zalety Ślązaka: głęboka miłość dzieci, przyrody, jasności i pogody, serce czułe na wszelką niedolę człowieczą, zawsze gotowe pomóc, gdzie trzeba. Najboleśniejsza prawda podnosi tu, krzepi i uszlachetnia. Tej miękkiej subtelności, jaką odznacza się talent Morcinka — brak Gojawiczyńskiej, ale też talent jej innej jest natury, innego rodzaju. Oba talenty uzupełniają się znakomicie.

*) Pola Gojawiczyńska: Ziemia Elżbiety. Wydawnictwo „Rój", Warszawa, 1934, str. 928, cena 3 zł.

**) Gustaw Morcinek: Gwiazdy w Studni. (Powieść dla młodzieży). Wydawnictwo św. Wojciecha, Poznań, 1934, str. 277, cena 5 zł.

Jerzy Konopacki

O pewnym ataku na „Ogniem i mieczem"

Przed kilku laty „ABC" spopularyzowało wiadomości, zaczerpnięte ze źródeł drukowanych (bo i Rolle o tem wspomina), że Kmicic miał na imię Samuel, nie Andrzej, że pani Basia miała w Wołodyjowskim już, bodaj, czwartego męża i t. d.; artykuł ówczesny wywołał zainteresowanie, ale nie wzbudził rozjątrzenia, bo nie był napaścią ze względu na sposób ujęcia tematu i nie przenikała go apodyktywna tendencja; rozumianem było ogólnie, że autor powieści nie może być ścisłym w szczegółach. Powieść historyczna jest dokonanem przez pisarza odtworzeniem możliwie dokładnem i artystycznem czynów ludzi minionych, według źródeł historycznych, ale sama nie jest źródłem historycznem.

Znamiona opowieści historycznej może mieć pamiętnik (jeśli niema w nim tyle fałszów, co w pamiętnikach np. J. D. Ochockiego), a w okolicznościach najbardziej sprzyjających, święcą się narodziny takiego romansu, jak „Listopad" Rzewuskiego, gdy autor, rodzinnie i umysłowością, tkwi w opisywanej epoce, odczuwa ją i opisuje; dlatego „Listopad" jest nieledwie dokumentem.

Powyższe rozważania wyjaśniają już, jaki charakter mają artykuły w sprawie sienkiewiczowskiego „Ogniem i Mieczem", pisane przez doc. O. Górkę—tendencyjnie. P. Górka chce skrócić trylogję Sienkiewicza o wszystkie tomy „Ogniem i Mieczem", chce obciąć część dzieła; — odczuwaliśmy ranę zadaną posągom, wykutym przez wielkiego pisarza: Trylogja dla Polaków nie jest zbyt długa.

Historycy, pp.: Lasocki, Lipiński, Laskowski, wykazali już, co było łatwem, że i Skrzetuski nie był Rusinem i książę Wiśniowiecki nie był skończonym tchórzem, bo umiał prowadzić szarżę pod Beresteczkiem, gdzie zresztą, dodajmy, poddał się ks. Jeremiemu słynny watażka, przyjaciel Krzywonosa, Łycienko Wowgór. W artykułach p. Górki, od a do z, można wykazać niedokładności.

Już na początku pierwszego artykułu, Bohdan Chmielnicki z pewnym sentymentem określony jako „szlachcic urodzony". Dlaczego w takim razie Jerzy Chmielnicki, syn tegoż Bohdana, miał przyznane szlachectwo polskie dopiero na sejmie 1659 roku? „Deklaracja łaski Urodzonemu Jerzemu Chmielnickiemu" głosiła, że „chcąc go przychęcić do dzieł rycerskich, tudzież naszej i Rzplitej usługi klejnot szlachectwa Polskiego onemu konferujemy, na co i przywilej nadany stwierdzamy". W rzeczywistości, chociaż Bohdan Chmielnicki w regestrach wojskowych był pisany szlachcicem, ale to były dopiero stadja, przetwarzającego się czynem bojowym, rodu z swego rodzaju włodyctwa w stan rycerski; coprawda bez takiego formalnego stwierdzenia nobilitacyjnego w sejmie, rycerstwo chorągwiane, włodycze, służebne, wchodziło w średniowieczu w poczet szlachty; szeroko o tym procesie wnikania, rzeczywiście, prawidłowo i życiowo w stan rycerski pisał prof. Semkowicz.

Na początku, i poprzez wszystkie artykuły, doc. Górka snuje pierwszą nić przygany polskiej szlachcie, przyznając jednak Chmielnickiemu jej tytuły. Pomijamy charakterystykę Chmielnickiego, którą przecież poznać można z innych źródeł, niż pracy Michajła Hruszewskiego, albo symbolicznego Ślepuszkina, chociaż obaj ci autorzy podpisaliby się pod świadectwem, wystawionem przez doc. Górkę, polskiej kawalerji: „...regeneracja psychiczna tej jazdy, przynajmniej odnośnie do walorów bojowych, rozpoczyna się dopiero w roku 1656".

Dlaczego w takim razie, jak podaje choćby Śliwiński w popularnym dziełku o Sobieskim, w 1673 r., w czasie wyprawy pod Chocim, ze 120 chorągwiami z województw ruskich, w ciągu tygodnia dezerterowała równo połowa? Trzeba powiedzieć, że to nie była ponowna „degeneracja", ale różnie bywało wobec złego ustroju państwa i wadliwych „artykułów hetmańskich", o czem w skrócie można przeczytać choćby w „Accesoriach", statucie i konstytucjach etc." p. Michała Słońskiego (Lwów, r. 1758).

Skąd doc. Górce wiadomo o bojaźni jazdy szlacheckiej przed Tatarami? Czy to po 1673 r., już w 1675 r., w bitwie pod Lwowem, nastąpiła znowu „regeneracja" kawalerji, gdy dosłownie w pół godziny (według ówczesnego bezstronnego świadka, Francuza, Daleyrac'a), niespełna 6000 konnych szlachciców rozpędziło 40 tysięcy najwybrańszej ordy tatarskiej.

Dlaczego autor rewelacyj o ks. Jeremim, sławiąc króla Jana - Kazimierza (monarchista — słusznie!) jeszcze obecnie chciałby dzielić naród już jeżeli nie na stany, to klasy, różnicą tradycyj historycznych, z umiłowaniem powtarzając określenie „cham polski", który w boju, według wyrażenia doc. Górki był „przetykany oddziałami Niemców". We wspomnianej bitwie pod Lwowem, w 1675 r., rola tych „chamów" była mniej czynna niż wynikałoby to z artykułów lwowskiego docenta: „To na rozkaz króla liczna czeladź i ciurowie obozowi, okryci zbrojami, i trzymający kopje, przerażali nieprzyjaciół samym swym widokiem... Nie podejrzewając podstępu Tatarzy ukryli się" (j. w. podręczna praca Śliwińskiego. Również od liczby „chamów" trzeba odjąć mieszczan lwowskich, którzy właśnie wtedy zasłużyli się Ojczyźnie tak po rycersku, że obywatelów miasta Lwowa konstytucjami uznano za zrównanych w prawach ze szlachtą i każdy „mieszczanin" lwowski jest szlachcicem.

Sprawa przechodzenia jednostek i oddziałów polskich na stronę Chmielnickiego, wymaga przypomnienia, kto w owych czasach był na kresach szlachcicem polskim gente rutenus, kto kolonistą, osadzającym i broniącym ziemię bezpańską. Tendencyjne broszury w rodzaju Wacł. Lipińskiego („Szlachta na Ukrainie") tłumaczyłyby, że to spolonizowane rycerstwo ukraińskie wracało do swojego ludu, ale znajomość opracowań o rozprzestrzenianiu się drobnej szlachty mazurskiej (patrz prace Smoleńskiego, Chołodeckiego) wyjaśnia, że prawo pługa i do ziemi na kresach, dawała polskiej władzy państwowej rdzennie mazurska szlachta, a pozatem patryjoci polscy potomkowie mniejszych rodów ruskich, (o których powiada Jabłonowski, przypisujący zresztą bojarom owruckim sympatje dla kozaczczyzny). Temperamenty, prywata, zbieg okoliczności, różnie wykolejały i fałszywie kierowały; współczesny Chmielnickiemu pisarz skarży się, że „uchodzą utrisque sexus panny nawet do Kozaków", oczywiście według krytyka sienkiewiczowskiego, to dowód „obrazu odwróconego" — Helena powinna była uciec pod opiekę Bohuna; ale śmiesznie przeciwstawia się temu los niejednej ks. Czetwertyńskiej, która po zamordowaniu męża przymusowo została poślubiona chłopu — watażce.

Wiśniowieccy mieli niedobre tradycje; o ks. Jeremim możnaby podać jeszcze niejedną ujemną wiadomość, a przodek jego, kniaź Konstanty, był zmuszony do uznania Unji z Polską, groźbą konfiskaty majątku; ale wpośród ważniejszych zarzutów, których doc. Górka nie cytuje, nie jest zbrodnią, że Wiśniowiecki od początku nie był za walką z kozactwem (zresztą to jest zarzut raczej wobec Sienkiewicza); zawodowy statysta i mentor narodu w XVIII w. ks. St. Konarski, w 1733 r., w okolicznościach najwyraźniej okazujących zgubność elekcji Augsta III-go, sprzymierzonego z Niemcami i z Moskwą, spoczątku, był zwolennikiem Sasów (Cóż nie dałoby się napisać o ówczesnym zdrajcy regimentarzu Józefie Potockim, który nie na kresach, ale w sercu kraju bruździł w czasie wojny, wyrabiając sobie buławę hetmańską).

Artykuły doc. O. Górki są tendencyjne, polemiczne, jednakże nawet ten ich charakter nie usprawiedliwia, aby w dziedzinie historji pisarz posługiwał się wszystkiemi zwrotami retorycznymi, nadmiarem superlatywów ect. ect. Prawidła pisania prac historycznych są znane, ustalone; niech sobie będą zwane kronikarstwem, najlepiej, rzecz szczególna, okazującem się w dziełach onomastycznych Kozierowskiego lub studjach nad kształtowaniem się społeczeństwa polskiego — Semkowicza i innych. Prace historyczne nie mogą być zniekształcane makaroniczną retoryką.

Temat ciekawy, dużo, naogół nie nowych, ale wiernie przypomnianych i zebranych wiadomości, godne pochwały stwierdzenie, czem była i ongi reklama żydowska (wtedy dla ks. Jaremy), lecz to przesłonięte i tendencją i sposobem ujęcia, i wykazanemi błędami. Najsłuszniejszym byłby wniosek z kończącej się polemiki w sprawie „Ogniem i Mieczem", że walki ówczesne były sprawą wewnętrzną, niestety bratobójstwem, a nie wojną o niepodległość Ukrainy, co chciałby napróżno głosić i Hruszewski, i Ślepuszkin, którym niepotrzebnie doc. Górka nieraz sekunduje w tylu fragmentach swej pracy, które nie spalić, aby reszta się nie zajęła ogniem, ale choćby nie mieczem tylko nożyczkami wypadałoby obciąć.

Stanisław Cywiński

Rehabilitacja baroku

Barok — w potocznem użyciu — to przesada, przeładowanie, sztuczność, nadużycie. Rzecz dziwna, że szafując tem pojęciem, ogół nie pyta: **w czem** przesadza barok, co przeładowuje, **czego** nadużywa? Toteż dla ścisłych badaczy baroku w architekturze, rzeźbiarstwie, malarstwie, muzyce, literaturze, wreszcie w życiu obyczajowem, dawno już przestał być barok wynaturzeniem czy wogóle zjawiskiem ujemnem, stając się stylem najzupełniej równouprawnionym z innemi stylami, a w dobie dzisiejszej bliższym smakowi epoki, niż jakikolwiek styl inny.

Barok jest jakgdyby syntezą gotyku i renesansu, przekraczając zresztą je obydwa. Aby tedy zdać sobie sprawę z jego istoty, zastanowić się należy nad charakterystyką tamtych dwu stylów.

Oto jak maluje psychikę gotyku i renesansu znakomity badacz sztuki, Wölflin:

Więc najpierw w gotyku:

„Każdy mięsień naprężony, ruchy ostre i trafne, uwaga zwrócona na rzeczy konkretne; w postaci ani odrobiny niedbałości; nic płynnego; we wszystkich rysach najbardziej określony wyraz jedynej woli. Linja nosa wyraźnie zaznaczona. Giną wszystkie niepotrzebne bryły ciała, spokojne i szerokie części jego powierzchni. Wysokie i zgrabne figury zda się ledwo dotykają ziemi.

Tymczasem w przeciwieństwie do gotyku renesansowi właściwy jest wyraz radości bytu; to, co było sztywne i nieelastyczne, teraz staje się wolnem i niezwiązanem; w ruchu — przemawia spokojna siła, w nieruchomości — pełny siły spokój.

Przedewszystkiem kostjum wyraża sposób trzymania się i ruszania. Warto np. porównać obuwie epoki gotyku z obuwiem renesansu. Wyczuwamy odrazu całkiem odmienny sposób stąpania: obuwie epoki gotyku jest wąskie, zaostrzone, spiczaste, wyciągnięte przez długie zgięcie naprzód; w epoce renesansu obuwie staje się szerokie, wygodne, dotyka ziemi ze spokojną pewnością siebie".

Jakież teraz okoliczności spowodowały przyjście baroku?

Dwie przedewszystkiem. Popierwsze stopniowe odwrócenie się od klasycyzmu, które się datuje od śmierci Rafaela (1520). Drugim czynnikiem, który pobudził do ukształtowania nowego stylu, było zwycięstwo katolicyzmu i nowy niebywały jego rozkwit. Tak oziębienie wobec klasycyzmu, jakoteż renesans katolicyzmu skierowały epokę ku rzeczywistości, ku ziemi i ku ciału, ku obowiązkowi, obudziły też większe niż kiedykolwiek poczucie samodzielności i odpowiedzialności w twórcach, artystyczne sumienie i świadomość. U Michała Anioła, nazywanego pospolicie „ojcem baroku", widzimy pociąg do obfitości kształtów i materji, skłonność do wyolbrzymiania proporcyj, do zarysowywania ogromnego planu. Barok zaczyna się lubować w materjale soczystym i miękkim, oraz śmiało wypędza linje proste i kąty ostre. Formy szorstkie zostają zmiękczone. Ostre kąty — stępione. Dzieła architektury i rzeźby dążą do syntezy z malarstwem, to też w dwu pierwszych pojawia się t. zw. charakter malowniczy. Naczelnym celem staje się wywołanie złudzenia ruchu, co się osiąga przez linje wolne i lubowanie się w światłocieniach. Płaszczyzny bywają przeważnie usunięte i zastąpione przez wypukłość. Prawidłowość bywa systematycznie naruszana; miast całości pojawia ją się ułamki, fragmenty, ugrupowania przypadkowe, pod kątem ukośnym względem widza.

W malarstwie środek rysunku pozostaje wolny, zaś centrum ciężkości przenosi się nabok. Postaci posiadają przeważnie rysy nieokreślone, przedmioty są przedstawione jeno częściowo, aby w ten sposób fantazja widza była pobudzona do współpracy z artystą, do domysłów i zgadywania istotnych intencyj twórcy. Element niepokoju i nieokreśloności zostaje wybitnie podkreślony, więc figury np. otrzymują położenie takie, by się wydawało wypadkowe, w szczególności często świadomie bywa wyzyskany motyw zakrycia ramą części figury, w ten sposób oko widza nie odróżnia szczegółów i ogarnia całość.

Barok lubuje się w barwach przejściowych, pastelowych, lub zgoła w światłocieniach, w lekkich przejściach od światła do cieniu. Stąd w poezji zwłaszcza barok przepada za zjawiskami, mijającemi, przejściowemi, niedojrzałemi i niepokojącemi, gdyż życie w ruchu — to dla baroku zjawisko najbardziej ponętne. Właściwa sfera baroku — to niepokój powstającego bytu; to co zamknięte i skończone — obce jest barokowi, więc nie koło — lecz owal szczególnie ukochał barok, nie kwadrat — lecz prostokąt.

W architekturze baroku pilastry zakrywają często jeden drugi; podobnie się rzecz ma z figurami. A że niepodobna tu polegać na wrażeniu wzrokowem, więc wyobraźnia widza musi intensywnie pracować. Słowem wstręt do ograniczoności i określonych form — to najgłębsza cecha baroku. Barok wnosi do sztuki nowość, osnuwa efekt na czuciu nieskończoności i pojmowaniu przestrzeni. Twórczość artystyczna — nawet architektura, architektura przedewszystkiem, staje się dramatyczną. Części nabierają wartości i znaczenia tylko w całem. Tempo staje się coraz szybsze, Równowaga przestaje być ideałem artysty. W grę wchodzą coraz wyraźniej wzruszenie i namiętność. Patos, tak zohydzony przez wszelaką trywjalność, odzyskuje swe przodownicze stanowisko. Zbytek sił fizycznych pobudza do hojnego szafowania niemi. Niepokój i ciągły wysiłek powodują ruchy newykończone: wola wyrasta ponad możliwości twórcze, gdyż „cała plastyki tajemnica w tem tylko jednem jest, że duch jak błyskawica, a chce go ująć gest", jak mówi największy twórca barokowy w Polsce, Cyprjan Norwid.

Barok w poezji daje mniej spostrzeżeń, więcej nastroju; w dążeniu do oddania wzniosłości, śmiało abdykuje ze zrozumiałości. Szczególnie często są tu konstrasty takie, jak tragizm i komizm, prymitywizm i wyrafinowanie, symbolizm i realizm, wzniosłość i trywjalność, bo twórcy barokowemu chodzi nadewszystko o maksymalne zbliżenie sztuki do życia. Myśl i świadomość, analiza i skłonność do intelektualizowania, bajeczna czujność i znajomość tworzywa artystycznego doprowadzają też poetę barokowego do spiętrzania obrazów i określeń, zwłaszcza przymiotników, co ma na celu możliwie wszechstronne uchwycenie danego przedmiotu czy pojęcia.

W muzyce wybitnym przedstawicielem baroku jest Ryszard Wagner, którego słusznie porównywa Wölflin z Palestriną („walka z rytmicznie zamkniętą frazą, ze ściśle systematyczną konstrukcją i poglądowo jasnem rozczonkowaniem").

Oto tak przedstawia się dziś barok oczom sumiennych i nieuprzedzonych badaczy. Jakże daleko odeszliśmy od potocznych nań poglądów, tak powszechnych jeszcze w w. XIX!

Dziś już nikt, kto się nieco bliżej zetknął z zagadnieniem, nie wątpi, że styl barokowy zdobył zupełnie równouprawnienie z innemi, spotykanemi w dziejach sztuki stylami a nawet, jak powiedziałem na wstępie, pod wielu względami jest dziś nam bliższy niż inne style. Pochodzi to stąd, że zbliżając się szczególnie do życia, tai on w sobie nieskończone możliwości i wyzwala twórczość oryginalną, będąc jej opiekunem i promotorem.

(Oprócz cytowanego dwukrotnie Wölflina, korzystałem jeszcze w tym szkicu z prac Gurlitza, Ricci'ego, Strzygowskiego, Ermalingera, Vietora i in.).

Wiktor Podoski

Czy nie zadużo literatury?

Ponieważ sam czynnie zajmuję się plastyką, piszę z tego zakresu sprawozdania, przeto trudno mi pozostać zupełnie obojętnym wobec tego, co się w innych działach sztuki dzieje. W pismach, które mi w ręce wpadną, szukam najchętniej recenzyj teatralnych, lub muzycznych i czytam je nieraz z wielkiem zainteresowaniem. Jedno mi się w nich podoba, drugie nie. O tem chcę właśnie dzisiaj mówić.

Włażę na nieswoje podwórko recenzyjne, z góry więc uprzedzam: proszę mnie traktować jako gościa, a nie osobę, w tym wypadku, urzędowo powołaną do zabierania głosu. Oglądam tu rozmaite sprawy, ot tak sobie, prywatnie, z boku i chciałbym opowiedzieć, jak one mi się widzą.

Na początek o kilku utartych zwyczajach. Sprawami plastyki, poniekąd także muzyki, nie wszystkie pisma się zajmują, niektóre poprostu ich nie widzą. nie wiem jednak dlaczego każde, nawet najskromniejsze pisemko, uważa za punkt honoru posiadać recenzenta teatralnego. Jest też przepis na pisanie recenzyj. Sprawozdania muzyczne pisze się „fachowo", teatralne — dowcipnie, a plastyczne, jeśli już nie z patosem, to w każdym razie z odpowiednią powagą. Dlaczego tak, a nie odwrotnie np. — djabli wiedzą.

Daleko istotniejszym od tonu sprawozdania jest jednak sposób ujęcia przezeń sedna zagadnienia i tu muszę powiedzieć, iż trudno mi się pogodzić z tradycyjnym sposobem omawiania dzieł scenicznych przez recenzentów teatralnych. Trzeba przyznać, że ten dział krytyki może się poszczycić wielu wybitniejszymi przedstawicielami, lecz ich kwalifikacje pogłębiają właściwie nieporozumienie, o którem mowa poniżej. Zwykle dość obszerna recenzja streszcza treść sztuki, pośledniejszy recenzent niewiele dodaje od siebie, ambitniejszy przeprowadza przytem analizę krytyczną utworu, wskazuje zalety i usterki. Na zakończenie dodaje się zazwyczaj parę zdań o wykonawcach, zdanko o reżyserze, parę słów o dekoracji. Czy to nie jest rażąca proporcja? Na 200 —300 mniejwięcej wierszy recenzji 20 — 30 wierszy o realizacji pracy teatru. I to ma być recenzja teatralna! W takim razie czem ona się różni od omówienia tegoż utworu w wydaniu książkowem? Czy dodatkiem tych paru wierszy? Na dobrą sprawę utwór dramatyczny, przed wystawieniem, jest czemś połowicznem, jako taki istnieje niepodzielnie dopiero w teatrze; gdyby było inaczej, autorzy nie przeznaczaliby przecież swych dzieł na scenę. Ale panowie recenzenci nawet w utworze wystawionym widzą tylko literaturę dramatyczną.

Do jakiego stopnia te nawyki są powszechne i ciążą nad naszą całą krytyką teatralną, dowodzi chociażby ten drobny fakt. Wpadła mi kiedyś w ręce recenzja ze sztuki granej w Ateneum, w reżyserji Schillera. Autor krytyki, który sam niegdyś studjował plastykę (Słonimski), o dziele teatru, szczególną wagę przykładającego do inscenizacji sztuki, napisał parę słów, całą recenzję poświęcając sporom z dramatopisarzem co do słuszności jego tendencyj. społecznych. A przecież nie posądzam Słonimskiego, by nie doceniał walorów reżyserskich Schillera.

Zabawnie jest obserwować niemiłą sytuację panów recenzentów za każdym razem, gdy teatry wystawią znany powszechnie utwór klasyczny. Streszczać fabuły wtenczas nie można (wszyscy znają), analiza krytyczna to rzecz, w tym wypadku, raczej historyka literatury; biedni recenzenci robią więc co mogą, żeby tylko jaknajmniej napisać o realizacji utworu, wspólnem dziele reżysera, aktorów i dekoratora *). Starsi jeszcze sobie radzą jako tako: a więc wspominają, kto grał w każdej z ról za ich czasów, cytują rozmaite zdarzenia, związane z ówczesnem wystawieniem sztuki, anegdoty, dykteryjki i t. d. Ale co mają robić młodsi?

Nie chciałbym być nigdy w skórze dekoratora teatralnego. Dział dekoracji to nietylko sztuka plastyczna. ale i zarazem wiedza rozległa, technicznie b. skomplikowana. Podczas błogiego snu recenzentów niejedno się w tej dziedzinie dzieje i rozstrzyga, powstają nowe koncepcje i zagadnienia. A w rezultacie, jaką ma dekorator ocenę swych trudów? Przepisuje się zazwyczaj, to co już jest na afiszu, że dekorację robił ten, a ten, conajwyżej z dodaniem jakiegoś mniej, lub więcej przyjemnego przymiotnika.

O aktorach również się pisze zdawkowe komunały i gotowe formułki. Czyżby tylko ważne było, co się gra, a nie *jak*? W takim razie zapraszam panów do siebie na najbliższą niedzielę: ja z moją ciotką odegram Szekspira, obiecujemy mówić głośno i wyraźnie; utwór jest klasa, więc pewno stawicie się licznie. A może dobra gra aktorska sama przez się rozumie się, dlatego nie trzeba o tem wiele mówić? W takim razie szkoda, że i dobroć sztuki nie bywa faktem równie oczywistym Przewiduję jeszcze jeden argument: Dobrze — powie mi ten i ów,—ale sztuka roztrząsa nieraz jakieś zagadnienia, stawia pewne problematy, t. j. czasem skomplikowane i o tem trzeba mówić nierównie więcej, niż o grze aktorskiej, której oczywistość gatunkowa jest daleko wyraźniejsza i łatwiejsza do ogarnięcia. Według mnie, takie, a nie inne zobaczenie postaci, którą aktor ma odtworzyć. jest równie dobrem zagadnieniem, pomijając już środki gry przez niego stosowane.

A teraz wyobraźmy sobie sztukę poważną, typu t. zw. psychologicznego; wartości zawartych w niej prawd docierają do nas zdawałoby się tylko na drodze rozumowej, a przecież rysują się one przed nami z taką spotęgowaną wyrazistością. jedynie dzięki szeregowi doznań natury wyłącznie zmysłowej. efektom intonacji głosu. mimice, gestom, atmosferze dekoracji, rytmowi reżyserji i jej pomysłom, które uwypuklają sens treści literackiej utworu. Jak uwypuklają i czy właściwie, tego powinien recenzent nie przeoczyć i nieco obszerniej o tem pisać, niż dotychczas.

Wniosek: dobrze pojęta recenzja teatralna powinna. po zdaniu sprawy z treści sztuki, przynajmniej połowę tekstu poświęcić omówieniu wykonania i jego analizie, gdyż widziane na scenie dzieło teatru jest rezultatem wspólnej pracy autora, reżysera, aktorów i dekoratora, o czem przecież recenzenci doskonale wiedzą, lecz spowodu wyłączności swych kwalifikacyj (literackich) nie piszą.

Przy szkole dramatycznej należałoby właściwie utworzyć katedrę dla przyszłych krytyków teatralnych. Dziś nasi krytycy. przeważnie, mniej lub więcej uzdolnieni literaci. specjalistami w swoim zakresie, w całem tego słowa znaczeniu, nie są. Zaczyna się zwykle tak: pewnego pięknego poranku, wieczorem, jeden z członków redakcji pisma idzie do teatru, żeby później napisać recenzję. Po kilku latach następuje przedawnienie. Facet ma już prawo oburzać się. gdy mu zarzucają. że nie jest fachowcem.

*) Z przyjemnością przeczytałem recenzję ze „Świętoszka". Piaseckiego, recenzję właśnie odbiegającą od szablonu, przez podjęcie zagadnienia. jak dziś właściwie należy grać Moliera.

Eugenjusz Byrski

Czemu, Cieniu, odjeżdżasz...?

„Gdy jako jeden z najbardziej zagorzałych miłośników prozy poetyckiej Noakowskiego, prosiłem go swego czasu o napisanie czegoś do „Przeglądu Warszawskiego", profesor oddał mi rękopis wraz z notatkami rysunkowemi „tej samej treści", robionemi dla siebie, obok tekstu literackiego. Potem tłumaczył mi żartobliwie z tą tak pełną uroku prostotą, że rysował to sobie, „by łatwiej było pisać".

St. Kołaczkowski,
„Wiad. Lit." nr. 26, 1925.

W październiku r. b. minęło lat dziesięć, gdy w „Przeglądzie Warszawskim *) ukazały się trzy klejnoty niezwykłej prozy Stanisława Noakowskiego, zatytułowane kolejno: „Kościołek romański", „Ołtarz barokowy", „Salon prowincjonalny", pod ogólnym nagłówkiem: „Zamiast rysunków", wszystkie zaledwie na sześciu stronach ósemki.

Wizja plastyczna, zaklęta w tych paru wierszach, w sposób tak oryginalny i nieodparcie sugestywny narzucająca się czytelnikowi przemożnym czarem słowa, pozwala domyślać się, jakie to skarby musiały tkwić w wykładach historji sztuki tego wielkiego artysty. I słusznie. Noakowski bowiem, jako historyk i profesor nie miał w sobie nic z szablonu belfra. Podkreślano to niejednokrotnie w artykułach, które ukazały się po jego śmierci, a i starsza generacja studentów Politechniki ma w swej pamięci zapewne jeszcze do dziś dnia te czarodziejskie godziny, spędzane na jego, jak lubił nazywać swe wykłady, pogadankach. W krótkich, kleconych doraźnie wspomnieniach, poświęconych jego pamięci, ukazywała nam się niezwykłość profilu duchowego Noakowskiego, subtelność. głęboki i niezawodny dowcip, kolosalna erudycja, wszystko to zamaskowane pozorną rubasznością jego fizycznej sylwetki.

Ale, — jakkolwiek Noakowski znajdował za swego życia uznanie wśród elity umysłowej dla swej pracy malarza i profesora **), a dzieła jego nietylko w Polsce, ale i zagranicą (Rosja, Anglja) budziły podziw i entuzjazm. jakkolwiek wśród młodzieży politechnicznej popularność jego nie miała sobie równej, — nie waham się twierdzić, że znaczenie jego pracy artystycznej w dorobku ogólnym kultury Odrodzonej Rzeczypospolitej jest przez wykształcony ogół polski niedocenione w wysokim stopniu.

Nazwisko Noakowskiego dzisiaj, jeśli chodzi o wartości w dziedzinie historji sztuki nowożytnej, które ono reprezentuje, jest dla społeczeństwa synonimem wiedzy zgoła ezoterycznej, niedostępnej. ale z jakichże materjalnych przyczyn! Noakowski, genjalny architekt, znakomity profesor i erudyta, twórca oryginalnych syntez historycznych odchodzi w cień zapomnienia, bo wykłady jego — niepisane — stają się legendą, taką, jak sztuka aktorska Modrzejewskiej lub Duse. A przecież, skoro utrwalamy na płytach głosy Caruso lub Szaljapina, aby uszom pokoleń przekazały sławę i czar ich sztuki, jakże mogliśmy dopuścić, aby genjusz i wiedza Noakowskiego przestały istnieć z chwilą jego śmierci?

Obowiązki, jakie ciążą na społeczeństwie polskiem z tytułu posiadania spadku po Noakowskim, są wielorakie. Przedewszystkiem spuścizna malarska: dzieła Noakowskiego, częściowo zresztą opublikowane w wydawnictwach Kasy im. Mianowskiego i Mortkowicza, są w ilości znacznej — bo N. komponował dość bujnie — rozproszone po świecie. W roku bieżącym, zdaje się w „Kurjerze Warszawskim", domagano się zorganizowania — wreszcie! — stałego muzeum. Jego imienia, gdzieby znalazły schronienie wszystkie te czarodziejskie obrazy i wizje architektoniczne, poczęte z natchnienia malarza do szpiku kości polskiego, jedyne obok prac Wyczółkowskiego—a o ileż od tamtych genjalniejsze — inspirowane przez ducha wielkiego artysty.

W roku 1925 Stefan Kołaczkowski — a więc jeszcze za życia Noakowskiego — zamieścił w „Wiadomościach Literackich" artykuł, z którego pochodzi zamieszczona na czele niniejszego feljetonu cytata, zatyt.: „Z refleksyj nad twórczością Noakowskiego". Autor, obecnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozpatruje tam przenikliwie i z wielkiem znawstwem elementy i walory skomplikowanej twórczości tego malarza i historyka w jednej osobie. W konkluzji, w celu uchronienia przed zagładą dorobku naukowego Noakowskiego, domaga się interwencji społecznej: „Wykłady prof. Noakowskiego winny być stenografowane..., rysunki, dokonywane podczas wykładów, sfotografowane... Noakowski, jak każdy wielki artysta, tworzący w poczuciu nadmiaru, hojnie rozrzucał skarby, nie troszcząc się o nie. A my? My dopuszczaliśmy się nieświadomie niesłychanego wandalizmu, pozwalając tym skarbom ginąć bezpowrotnie. Najwyższy czas temu zapobiec, najwyższy czas zorganizować odpowiednią akcję".

Chwilę ukazania się tych słów od daty śmierci Noakowskiego (1928) oddzielał okres trzech lat zgórą. Skądinąd wiadomo, że istotnie w swoim czasie rozpoczęto pracę nad realizacją tego pomysłu, że stenografowano wykłady oraz dokonywano zdjęć fotograficznych bezpośrednio po wykładach. Nie wiemy jednak, czy dostatecznie uporządkowano owe materjały i czy nieoczekiwana śmierć profesora nie przeszkodziła ostatecznemu przygotowaniu ich do druku — co byłoby stratą dla kultury polskiej niepowetowaną.

*

Nie zostawił — on, architekt z ducha i krwi, — niestety, po sobie żadnego pomnika architektury. Wszelako on jedynie —ileż goryczy tkwi w tem przeświadczeniu — rozumiał prawdziwą monumentalność, on jeden doceniał wagę ciągłości historycznej żywej tradycji architektonicznej w twórczości architekta. A przecież przy tem wszystkiem Noakowski, któremu z tytułu jego upodobań do wiedzy historycznej możnaby było zarzucić tradycjonalizm, nigdy nie był jałowym lub reakcyjnym tradycjonalistą. w przeciwieństwie do swych z pozoru bardziej współczesnych kolegów. Przeciwnie, wszystko, co postępowe, twórcze, pozytywne, było reprezentowane przez wysokie wartości jego psychiki. Ale może dlatego właśnie nie mógł tworzyć w ramach naszej dzisiejszej cywilizacji, która nie sprzyja monumentalności. Może kiedyś zato okaże się koniecznem sięgnąć do skarbnicy dziś nam tak „niepotrzebnych" skarbów. Nie pozwólmy, aby duch Noakowskiego, symbol prawdziwej, narodowej sztuki, odszedł od nas, zasnuty mgłą polskiej obojętności, rodzimego „jakoś tam będzie"...

*) „Przegląd Warszawski", rok III, nr. 25, październik, 1923 r.

**) Zresztą i owo uznanie, jeśli chodzi o jego powszechność wśród elity, było — niestety — dość problematyczne. Kiedyś, gdy jako młody student zostałem zaszczycony przez niego rozmową, opowiadał mi z właściwą mu „pobłażliwą" ironją o jakimś bankiecie oficjalnym, na którym dokonano wzajemnej, towarzyskiej prezentacji między nim a pewnym profesorem Uniwersytetu. W rozmowie, która potem nastąpiła, okazało się, że ów profesor nie wiedział, kto zacz jest Noakowski. Tę relację N. opatrzył w rozmowie ze mną taką trochę sarkastyczną uwagą: „Pan profesor....... nie wiedział, kto ja jestem. Widocznie za mało się reklamuję. Proszę, co to jednak —znaczy reklama... Ta niezwykła ignorancja przedstawiciela elity umysłowej musiała głęboko dotknąć znanego ze swej skromności profesora; opowiadał o niej wielokrotnie tym, z którymi zdarzyło mu się rozmawiać o swej popularności. Ironiczną uwagę N. cytuje niemal w analogicznem brzmieniu P. M. Lubiński „Wiad. Lit." 16.XII. 1928."

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Alicji w krainie czarów, część druga

Prosię i pieprz

Błąkając się wśród lasu, Ala natrafiła wreszcie na łączkę. Pośrodku stał maleńki domek. Dziewczynka energicznym ruchem nacisnęła klamkę, drzwi się otworzyły. Weszła do dużej kuchni pełnej dymu. Pośrodku na trójnogiem krześle siedziała Księżna, niańcząc dziecko. Kucharka stała przy kominie, zawzięcie mieszając jakiś płyn w rondlu.

— Stanowczo zadużo pieprzu w tej zupie — powiedziała do siebie Ala, kichając mocno.

Pieprzu rzeczywiście było za dużo. Od kichania nie mogła się ustrzec nawet Księżna, a cóż dopiero dziecko. Kichało ono raz po raz, w krótkich zaś przerwach przejmująco wyło.

Spokojnie zachowywały się w kuchni tylko dwa stworzenia: Kucharka i duży kot, który siedział na przypiecku i szczerzył zęby od ucha do ucha.

— Przepraszam cię Księżno, czyby nie chciała mi powiedzieć, dlaczego ten kot szczerzy zęby?— zapytała Ala nieśmiało.

— To kot z Częstochówki — powiedziała Księżna.

— Nie wiedziałam, że kot z Częstochówki może szczerzyć zęby.

— Cóż ty o tem możesz sądzić — powiedziała Księżna — wszak wiesz tak mało.

Niemile dotknięta Ala postanowiła zmienić temat rozmowy.

— Cóż takiego gotujecie w tym rondlu?

— Coś, coby się i tobie przydało — odpowiedziała kucharka surowo — zupę wychowania państwowego. To, co nazwałaś pieprzem, nie jest wcale pieprzem, tylko aktualnością.

— Czas nakarmić przyszłego obywatela! — zawołała w tej chwili Księżna.

Kucharka podeszła z rondlem do dziecka i wlewać mu zaczęła w nos gęstą polewkę pieprzową pośród ogłuszającego ryku malca.

Księżna zaczęła go kołysać, śpiewając coś w rodzaju kołysanki, a Kucharka i dziecko wtórowały jej przy ostatnich słowach:

„Surowo karcę mego chłopca
I bij go, gdy kicha,
Bo wielką rozkosz mu to sprawia,
Gdy pieprzem nos zapycha:
Chór: Au, au, au!"

— Poniańcz teraz trochę przyszłego obywatela, oczywiście, jeżeli chcesz — powiedziała Księżna, rzucając jednocześnie dziecko w stronę Ali — mało już mam czasu, a muszę się ubrać, bo pójdę do Królowej na partję walki z kryzysem — i wybiegła z kuchni.

Kucharka rzuciła za nią patelnią, lecz nie trafiła.

Ala chwyciła dziecko.

— Jeżeli go stąd nie zabiorę— powiedziała — napewno je uśmiercą. jeżeli nie dziś. to jutro. Gdybym je tu zostawiła, przyczyniłabym się do morderstwa.

Ostatnie słowa wypowiedziała zupełnie głośno. a małe stworzenie chrząknęło w odpowiedzi. Po wyjściu z domu przestało kichać. Ala niespokojnie spojrzała mu w twarz. Nie ulegało wątpliwości, dziecko się zmieniało. Miało dziwnie podniesiony nos, do ryjka podobny, oczki małe, za małe stanowczo na oczy człowieka. Pozatem cały wyraz fizjonomji był dziwnie niemiły. Nie ulegało wątpliwości, że było to, ni mniej, ni więcej, tylko najzwyklejsze prosię. Zrozumiała, że piastowanie go było najzupełniej bezcelowe. Postawiła zatem prosiątko na ziemi, a ono pobiegło do lasu, radośnie pokwikując.

Nagle Ala drgnęła. Niedaleko na gałęzi wysokiego drzewa siedział kot z Częstochówki i szczerzył zęby.

— Ale, ale! — powiedział — co się stało z dzieckiem?

— Poszło do lasu, jako mały wieprz — odpowiedziała Ala zupełnie spokojnie.

— Byłem pewien takiego końca — rzekł kot i zniknął.

Historja fałszywego żółwia

— Czy widziałaś Fałszywego Endeka? — szepnęła królowa do Ali.

— Nie — odpowiedziała Ala — nawet nie wiem, co to jest fałszywy endek.

— Ma cielęcą głowę, zamiast zwykłej — objaśniła Królowa.

Ala z Królową prędko doszły do Grafa, wylegującego się na słońcu i pogrążonego w głębokim śnie (wyglądał, jak zwykły gryf, tylko nie miał skrzydeł, pazurów i był łysy).

— Leniuchu wstań — dobywając resztek głosu, krzyknęła Królowa — wstań natychmiast i zaprowadź tę młodą damę do Fałszywego Endeka, niechaj jej opowie swoją historję.

Ala poszła wolno za Grafem. Wkrótce zobaczyli Fałszywego Endeka, siedzącego samotnie na małym występie skały. Był tak smutny, że Alę odrazu ogarnęło głębokie współczucie.

— Niegdyś — powiedział Fałszywy Endek z głębokiem cichem westchnieniem — byłem prawdziwym Endekiem i posiadałem realności.

— Co posiadałeś? — zapytała Ala.

Ale Fałszywy Endek nie odpowiedział, tylko zaczął ciężko szlochać.

— Później — zaczął mówić już spokojniej, lecz ciągle napół szlochając — chodziłem na akademję imieninową. Uczono nas tam, że naród to państwo, a państwo to rząd, a więc, że rząd to naród.

— Mnie uczono inaczej — przerwała Ala.

— Źle cię uczono — zawołał gniewnie Fałszywy Endek — czy nie znasz, jak powiedział poeta:

„Ja jestem miljon, bo od miljonów czerpię i zbieram fundusze".

Ala umilkła zawstydzona, a Fałszywy Endek ciągnął po chwili dalej:

— Tem tylko różnię się od prawdziwego endeka, że nie jestem endekiem. Jestem antysemitą, ale działanie endeków przeciw żydom uważam za antypaństwowe i niecelowe. Nie jestem rasistą. Wiesz zapewne, jak mówi poeta:

„Ich hass
Die rasse
Die klasse
Gemeine
Die meine".

Tu zaszlahał fałszywie, a potem ciągnął dalej: Jestem nacjonalistą. ale uważam, że endecy zupełnie źle rozumieją nacjonalizm. bo chcą go pogodzić z chrześcijaństwem, a nacjonalizm powinien być ateistyczny, zwalczać księżą międzynarodówkę. Jestem katolikiem, ale uważam, że endecy są złymi katolikami, bo są nacjonalistami, a dobry katolik musi zwalczać nacjonalizm. Jestem proletarjuszem i zwalczam endeków, bo są burżujami. ale jestem obrońcą sfer gospodarczych i uważam, że endecy mają bolszewickie pomysły. Teraz rozumiesz czem jestem: jestem prawdziwym endekiem, a endecy są fałszywymi endekami.

—Nic nie rozumiem — powiedziała Ala.

— Zapomniałem ci powiedzieć — dodał fałszywy endek — że w akademji imieninowej mieliśmy lekcje. Powtarzaliśmy zawsze, że jest coraz lekcej u nas i to nazywało się lekcją.

— Masz rację — powiedział Graf — lecz daj już temu wszystkiemu pokój. Zaśpiewajmy coś lepiej.

Fałszywy Endek głęboko westchnął i zaczął śpiewać. Nie przychodziło mu to łatwo. Od czasu do czasu głęboki szloch wyrywał mu się z gardła.

„O cudna zupo, wonna od ziela,
Rozkosz się z wazy twojej wydziela.
Chylimy głowę przed tą skorupą,
Zupo rządowa, o cudno zupo!
O cu-udna zu-upo,
O cu-udna zu-upo,
Zu-upo rzą-ą-do-wa,
O cudna, cudna zupo!
Gdy, cudna zupo, bucha woń twa,
O jakież inne jadło któż dba?
Odda się cały za parę groszy,
By cię smakować, pełna rozkoszy
Zupo rządowa, o cudna zupo!
O cu-udna zu-upo,
O cu-udna zu-upo,
Zu-upo rzą-ą-do-owa,
O cudna, cudna zupo!"